

Agnieszka
Kowalska
Bojar

Ja
BABAI!



Ja, baba!

Agnieszka Kowalska-Bojar

Wydawnictwo Motylewnosie

Poznań 2025

Copyright © Agnieszka Kowalska-Bojar

Copyright © Motylewnosie

Wydanie I

Poznań 2025

Ebook ISBN 978-83-66352-57-5

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie i kopiowanie całości lub części publikacji w jakiegokolwiek postaci zabronione bez wcześniejsze pisemnej zgody autora oraz wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pomocą nośników elektronicznych.

Korekta i redakcja: Poradnia Redakcyjna

Angelika Kuszła

Wydawnictwo:

motyleWnosie

motylewnosie@gmail.com

Ebooki i książki kupisz na stronie:

www.motylewnosie.pl

www.sklep.motylewnosie.pl

Patronaty



Dziękuję!

1. Lena

Strasznie nie chciało mi się otwierać oczu. Leżałam więc sobie, trwając w dziwnym błogostanie. Powoli odzyskiwałam świadomość, a jednocześnie z rozrzewnieniem wspominałam wczorajszą imprezę – wieczór panieński zorganizowany dla mojej najlepszej przyjaciółki. Limuzyna, morze szampana i kilku przystojniaków, którzy dotrzymywali nam towarzystwa. Szczerze mówiąc, nie bardzo pamiętałam, kiedy dokładnie urwał mi się film...

Odrobinę zaniepokojona tym faktem, jak i zapachem, który dopiero teraz zarejestrowała moja otumaniona świadomość, na próbę otworzyłam jedno oko. Potem dużo bardziej gwałtownie drugie i z coraz większym przerażeniem wpatrywałam się w świński ryj tuż obok mojego nosa.

– Ki czort?! – zakląłam, usiłując zająć pozycję siedzącą. Dokonałam tego dopiero za drugim razem, a przepłoszona świnka uciekła z głośnym kwikiem. – Boże! – wyszeptałam ze zgrozą. – Ależ się schlałam! Gdzie ja jestem?

Z pewnością była to drewniana stodoła wypełniona sianem. Mimowolnie przypominałam sobie czasy dzieciństwa. Taką samą miała moja babcia, ale to było prawie dwadzieścia lat temu. Tamta już dawno spłonęła, a o ile mi wiadomo, w okolicach Poznania nie było już

takich archaicznych budowli. Przynajmniej nie drewnianych.

Tknięta nagłą myślą pomacałam się po kroczu. Nic. Bielizna w całości, rajstopy w całości, żadnych dziwnych plam. Znaczy się gwałt odpadał. Porwanie? No co komu taka pyskata baba, która sama nie potrafiła zdecydować się, czego chce w życiu? Ewentualnie do eksperymentów medycznych, ale to chyba nie w stodole?

– Dwa lata abstynencji i ledwo człowiek trochę zaszałał, a już wylądował cholera wie gdzie – zrzedziłam, gramoląc się z siana.

W końcu stanęłam na nieco chwiejnych nogach. Co dziwniejsze, tuż obok leżały moje buty, ale nie wytworne szpilki, tylko wygodne trampki, które wzięłam ze sobą tak na wszelki wypadek. Widać, zdążyłam jeszcze zmienić obuwie. Pokręciłam z dezaprobatą głową i zaczęłam nasłuchiwać.

Ciszę przeplatały głosy ludzi i zwierząt. Takie zwyczajne. Żadnego warczenia, muzyki, szumu samochodów. Razem z tą drewnianą stodołą dawało to zadupie wielkie, gdzie psy szczekały tym, co miały pod ogonem. Od razu przyszło mi do głowy, że postanowiłyśmy wybrać się do jakiegoś nietypowego miejsca. Może po drodze kazałyśmy zatrzymać się szoferowi, a gdy ja udałam się za gęsty krzaczek, te wampirzyce odjechały, zapominając o swojej koleżance? W takim wypadku dobre i to, że trafiłam na stodołę. A gdyby to był niewielki stawek, pole pełne byków, gniazdo przestępców czy takie tam?

– Nigdy więcej alkoholu – powiedziałam surowo do siebie i postanowiłam wybadać okolicę. Skoro słysząc ludzi, to z pewnością użyczą mi telefonu. Mój został w torebce, a ona pewnie w limuzynie. Zadzwonię, po kogo trzeba, ochłonę i zacznę przygotowania do imprezy

weselnej. W końcu jako główna drużna miałam swoje obowiązki.

Drzwi zaskrzypiały ostrzegawczo, jakby zaraz miały wypaść z zawiasów. Zmrużyłam oczy, bo słońeczko nieźle dawało, i dopiero po chwili udało mi się dostrzec szczegóły najbliższej okolicy. Patrzyłam w milczeniu i powoli włos jeżył się na mojej głowie...

Trzy drewniane chałupy do połowy zakopane w ziemi. Z jednej uchodził dym przez coś w rodzaju komina. Zero okien. Błoto na podwórzu, za płotem gęsty las, nierogaczna pętająca się po całej okolicy. No i ludzie. Oby to szlag trafił! Dwie kobiety, jeden mężczyzna, cała gromadka brudnych, zasmarkanych dzieciaków. Widok rodem ze średniowiecza. Z niesmakiem pomyślałam, że wylądowałam w jakimś skansenie, chociaż szczerze mówiąc, to skanseny wyglądały dużo lepiej. Czyściej. Przynajmniej te, które dotychczas udało mi się zobaczyć.

– Hej, hej! – Pomachałam do stojących w półkolu ludzi, którzy żywo o czymś dyskutowali. – Przepraszam państwa, ale chyba zbłądziłam.

Raźnym krokiem ruszyłam w ich kierunku. Przystopowało mnie dopiero w połowie drogi, bo wyglądali, jakby zobaczyli samego Belzebuba. Prerażenie w ich oczach, usta otwarte jak do krzyku, ale niewydające żadnego dźwięku, trwoga wykrzywiająca twarze. Po czym z głośnym rykiem zaczęli uciekać.

– Jasna cholera! – zaklęłam. Pomachałam się po głowie, potem po twarzy. Nic. Wszystko wydawało się normalne. Zerknęłam na ubranie, czyli maksymalnie seksowną, minimalistyczną, srebrzystą sukienkę. Też nic. Co to wszystko miało znaczyć?! – Ludzie, stojcie! – wrzasnęłam ponownie, zgrabnie omijając krowi placek na swojej drodze. – Pomocy potrzebuję! Telefonu!

Ostatnie dziecko zniknęło w gęstwinie lasu. Zostałam sama na środku błotnego podwórza, otoczona przez

kaczki, gęsi, kury i coś tam jeszcze. Przy czym zwierzyna najwyraźniej miała w nosie mój wygląd i obecność.

– Co za pech – mruknęłam poirytowana, po czym nagle mnie olśniło.

Skoro buty leżały obok, to może i torebka się gdzieś zawieruszyła? Szybko wróciłam do wnętrza stodoły i po chwili triumfalnie wygrzebałam z siana niewielką kopertówkę. *Ma się to szczęście* – pomyślałam, siadając na płaskim, nagrzanym słońcem gładzie. Wygrzebałam telefon i tu spotkała mnie kolejna przykra niespodzianka – brak sieci. Kompletnie nic. Nawet numery alarmowe szlag trafił. Zaklęłam pod nosem, a potem wyjęłam małą, podręczną puderniczkę. Przyjrzałam się podejrzliwie swemu obliczu, bo mieszkańcy dziwnej zagrody nadal nie wrócili, ale oprócz rozmazanego tuszu do rzęs i barwnej smugi na lewym policzku po szmince nie dostrzegłam nic niepokojącego. No dobrze, ta szminka nadawała mi trochę wygląd wampira po przepiciu, ale bez przesady. Na taką panikę z pewnością nie zasługiwała.

– Trzeba będzie ruszyć dupsko, wybrać którąś stronę świata i poszukać cywilizacji – wymamrotałam posępnie.

Poczekalam jeszcze kwadrans, potem drugi i trzeci. W międzyczasie poprawiłam makijaż, odświeżyłam oddech za pomocą gumy do żucia i pożałowałam, że nie zabrałam ze sobą plecaka z wałówką. Mieszkańcy nadal nie wrócili. Co było robić? Wstałam, otrzepałam pupę i ponuro spojrzałam na świecące wesoło słońeczko.

– Entliczek pętliczek, zielony guziczek. Na kogo wypadnie, na tego bęc!

Wypadło na moją prawą stronę. I dobrze, bo tam las nie był taki gęsty. Zresztą, dziwne było, że do zagrody nie prowadziła żadna droga, chociażby gruntowa, zarośnięta. Zanim zanurzyłam się w nieznanym lesie, obeszłam jeszcze wszystko dookoła. Dopiero wtedy za stodołą dostrzegłam dość szeroką ścieżkę. Samochód by nie

przejechał, ale dwóch rowerzystów obok siebie już tak. Postanowiłam olać wyliczankę i pójść dróżką. Gdzieś mnie w końcu zaprowadzi. Zanim jednak zdążyłam to zrobić, wyraźnie usłyszałam tętent końskich kopyt.

– No, w końcu! – krzyknęłam uradowana. Trzeba przyznać, że przez całe życie samotność nie doskwierała mi tak bardzo, jak w przeciagu ostatniej godziny.

Oparłam się o sterczący z ziemi, nadłamany pal, przybierając wdzięczny wyraz twarzy. Oczywiście wolałbym warkot samochodu, ale dobry i koń. Od biedy umiałam jeździć, więc może podrzucą mnie gdzieś w jakieś cywilizowane okolice? Niechby do najbliższego spożywczaka albo kościoła. Tych pierwszych i tych drugich akurat ci u nas pod dostatkiem.

Z lasu na polanę, na której stały chaty i stodoła, wypadło kilku konnych. Zatrzymali się, po czym zaczęli zachłannie się na mnie gapić. Ja na nich również. Konie jak konie, ale jeźdźcy stylizowani byli na wczesne średniowiecze, a poza tym kilku z nich dobyło broni. Miecze, topory i łuki skierowano niewątpliwie w moją stronę. A ja zamarłam osłupiała, wybałuszając oczy.

– Przepraszam, że przerywam zabawę w rycerzy i wieśniaków – odezwałam się w końcu, bo coś należało powiedzieć. – Ale zgubiłam w nocy drogę i...

– Wysłanniczko diabła! – Rosły młodzian na równie dorodnym koniu potrzęsnał złocistą czupryną i groźnie zmarszczył czoło. – Zwyciężymy cię, szatanie, władco piekła!

– Mam na imię Lena. I przestańcie się wygłupiać! – Zdenerwowałam się. Co za nawiedzony palant?! Ja mu dam władcę piekła! Jak przyłożę w ten zakuty łeb, to ujrzy gwiazdy w białym dniu.

– Czarownica! – krzyknął któryś z tyłu. – Zabić ją!

Nie powiem, wiarygodni byli, ale jakoś te ich gwłupy nie przypadły mi do gustu.

– Zobaczmy, kto kogo – mruknęłam, na wszelki wypadek rozglądając się za możliwą bronią. Od ponad dziesięciu lat trenowałam krav magę, która z założenia była systemem walki opracowanym dla sił obronnych Izraela. Stanowiła niezwykle udaną hybrydę boksu tajskiego, judo, brazylijskiego ju-jitsu, aikido i zapasów. Baba byłam agresywna i zawzięta, więc dosyć szybko doszłam do brązowego pasa. Poza tym od przedszkola uczęszczałam na karate – tatuś z uporem maniaka prowadził mnie na strzelnicę, a brat przekonał do skoków spadochronowych. Słowem, rzeczy ekstremalne stanowiły sens mej egzystencji. Przynajmniej do momentu, gdy umówiłam się na randkę z wymarzoną mężczyzną i w jego obronie obilałam mordy kilku typom spod ciemnej gwiazdy. Ukochany się spłoszył, zrywając kontakt, a ja popadłam w przygnębienie. Ta cała emancypacja to mi nosem wyszła.

– Nie, lepiej ją pojąć. – Na czoło jeźdźców wysunął się mężczyzna o anemicznym wyglądzie i minie zbitego psa. – Może coś wie o zaginionej królowej. Skujemy ją i doprowadzimy przed oblicze władcy. On zadecyduje.

– Ja bym tę parchatą czarownicę ukatrupił na miejscu – mruknął złotowłosy młodzian, który przed chwilą bredził o szatanie i piekle. Mierzył mnie przy tym wysoce nieprzyjaznym spojrzeniem.

Odwdzięczyłam mu się, wytykając język i prostując środkowy palec prawej ręki w powszechnie znanym geście. Buc jeden! Parchata czarownica? Parchata?!

– Skuwać mnie nie musicie, pójdę sama – oświadczyłam z godnością. Aż się wzdrygnęli ze strachem. Pewnie lepszego efektu nie osiągnęłabym, ziejąc ogniem z pyska i lewitując nad koronami drzew. A swoją drogą, za aktorstwo to bym im przyznała Oscara. – Potrzebuję konia i pomocy, aby go dosiąść. Akurat w te

klocki nie jestem najlepsza – wyjaśniłam, szeroko się uśmiechając.

– Lancelocie! – Anemik skinął dłonią na blond gburka. – Czy podejmiesz się tego niebezpiecznego zadania?

– Oczywiście! – Blond gburek od razu poweselał, ale ja nie byłam zachwycona.

– Nie pojedę sama? – spytałam z pretensją.

– Nie mamy zapasowego rumaka. Sir Lancelot będzie cię pilnował, abyś nie uciekła i dotarła przed oblicze króla.

– Sir Lancelot? – Z powątpiewaniem patrzyłam na chłopaka, który podjechał bliżej i właśnie szykował coś w rodzaju grubego, solidnie wyglądającego sznura. – A ty to kto? Może do kompletu sir Galahad?

– Sir Girflet! Ona cię obraża! Może jednak...

– Nie! – Jedno stanowcze słowo ukróciło zapędy gburka. – Ma stanąć przed królem.

Ten, który szumnie tytułował się sir Lancelotem, zeskoczył z konia, po czym ostrożnie się do mnie zbliżył. Robił przy tym groźne miny, wymachiwał mieczem i w ogóle wyglądał przezabawnie. Poza tym pomyślałam z melancholią, że śliczny z niego chłopak – postawny, kolorystycznie wyrazisty, a buźkę miał taką, jakby mu ją rzeźbił sam Michał Anioł.

– Mam się dać związać? – spytałam domyślnie. Potem wzruszyłam ramionami. Nie będę temu gronu nawiedzonych szaleńców psuć zabawy. – To dawaj, wiąż! – Wyciągnęłam przed siebie złączone dłonie, co skrzętnie wykorzystał.

Kilka minut później siedziałam na koniu opleciona tym grubym powrozem jak święteczna paczka, z kwaśną miną zastanawiając się, dlaczego nie trafiłam na kogoś normalnego. Co za pech! W końcu ruszyliśmy, na razie stępem, bo gęsty las nieco utrudniał rozwinięcie większej

prędkości. Zaciekawiona wykręciłam głowę i spojrzałam przez ramię na siedzącego za mną gburka. Gapił się na moje prawie całkiem gołe nogi, bo sukienka podwinęła się, odsłaniając zbyt wiele. Gapił się i gapił, wybałuszając oczy i groźnie marszcząc brwi, a ja byłam coraz bardziej rozbawiona. W dodatku poczułam, jak jego ramię ścisza mnie w pasie coraz bardziej kurczowo. Byłabym ostatnią kretynką, gdybym nie zorientowała się, co mu krąży po głowie. I złośliwie pomyślałam, że teraz się odwzięczę za tę parchatą czarownicę. Dużej swobody ruchów nie miałam, ale zaczęłam odrobinę się wiercić, kręcąc tyłeczkiem i ocierając się o jego krocze i uda. Zauważyłam, że z taką siłą zacisnął palce na uździe, aż pobiełały kłykie. W pewnym momencie ze świstem wciągnął powietrze, a w końcu nie wytrzymał i jedna z jego dłoni wylądowała na moim udzie.

– Czarownica! – syknął przy tym wściekłym szeptem.
– Przekłeta czarownica!

– Nie przesadzaj. To ty mnie obmacujesz.

– Chcesz mnie zwieść na manowce? Niedoczekanie twoje! – Z wyraźnym trudem oderwał rękę od rozpalonej skóry.

Wyjechaliśmy z lasu i konie od razu przeszły w kłus. Trochę ciężko było uwodzić gburka w takiej sytuacji, więc odpuściłam, resztę zemsty odkładając na później. Za to z ciekawością rozglądałam się dookoła. Nagie pagórki, wszechobecna zieleń, po prawej las, po lewej las, za nami las, w oddali na horyzoncie las... *Gdzie ja, do cholery, jestem?* Po raz pierwszy poczułam wyraźny, trudny do określenia niepokój. Coś mi strasznie nie pasowało w tym wszystkim.

– Co to za miejsce, w które się udajemy, czcigodny rycerzu? – zadałam pytanie mojemu milczącemu i wkurzonemu towarzyszowi.

– Jesteśmy w drodze do Camelotu – odparł krótko. – Król zadecyduje, co z tobą zrobić, czarownico. Ale łaski to bym nie oczekiwał.

– Taaa... W drodze do Camelotu – odpowiedziałam z ironią, po czym zamilkłam, bo minęliśmy właśnie pas drzew i moim oczom ukazała się ogromna dolina, nad którą górował potężny, kamienny zamek.

Zamrugłam zdezorientowana oczami. Co jak co, ale moja wiedza o zamkach i pałacach była dość obszerna i dałabym sobie głowę uciąć, że ta budowla nie znajdowała się w Polsce. Ale w takim razie gdzie? Gdzie, do diabła, trafiłam? Niemcy? Bzdura! Z języków obcych znałam jedynie angielski, nie dogadałbym się. A przecież... Zastanowiłam się. Zaraz, zaraz... Rozumiałam tych ludzi, oni mnie również, lecz to nie był język polski. Raczej coś, czego nie znałam, chociaż znałam. Kurde! Jakże to wszystko popieprzone...

– Najprostsze wyjaśnienie, to puknęli mnie w łeb i mam omamy – wymamrotałam, zachłannie gapiąc się na okolicę.

Właśnie wjechalіśmy do jakiejś wioski. Zresztą, kto wie, może to były tereny podmiejskie? Nieważne. Ogólnie widok przygnębiający. Brud, smród i ubóstwo. Droga pełna błota, małe, przytulone do siebie chatki i ludzie o zmęczonych twarzach. W miarę jak posuwaliśmy się do przodu, droga zmieniła się w kamienny trakt, domy zaczęły przypominać normalne budowle, a mieszkańcy wyglądali na czystszych i mniej dzikich. Tak intensywnie przyglądałam się wszystkim szczegółom, że nie zauważyłam, iż większość spluwa na mój widok. Nic dziwnego, byłam prawie naga. Poza tym w promieniach zachodzącego słońca moja sukienka skrzyła się i lśniła. W porównaniu do wszechobecnej szarzyzny byłam jak egzotyczny ptak wśród wróbli. No i te trampki w kolorze soczystej zieleni. Szał ciał i uprząży!

– Czy król Artur... – zaczęłam ostrożnie, ale od razu urwałam, napotykając zdumione spojrzenie mego towarzysza.

– Jaki król Artur? – spytał z niesmakiem. – Nie ma i nie było kogoś takiego.

– Nie? – osłupiałam jeszcze bardziej. Te majaki, jak widać, były jakąś spersonalizowaną wersją. – To kto niby jest królem?

– Nasz miłościwie nam panujący władca to Mordred. U jego boku zasiada królowa Ginewra, która niespodziewanie zniknęła dziś rano.

– Mordred? – zadumałam się. – Ale okrągły stół macie?

– Co ty bredzisz, babo?! – warknął. – Po cholerę nam okrągły stół? To niepraktyczne. Stoły ci u nas normalne, dębowe, na trzydziestu chłopów.

Więcej nie pytałam, czując się przytłoczoną nadmiarem sprzecznych wiadomości. Majaki nijak się miały do legendy. Artura nie było, stołu nie było, Merlina...

– A jakiegoś Merlina znasz? – spytałam markotnie.

– Merlina? Był taki jeden pokręcony staruch, co robił za nadwornego błazna, ale poślizgnął się na świeżo wypucowanej posadzce, fiknął koziołka i zleciał ze schodów. Nie żyje już dobre parę lat.

– No jasny gwint! – wymamrotałam.

Dopiero teraz spostrzegłam, że zbliżyliśmy się do zamku, a przed nami rozciągała się szeroka fosa pełna mętnej wody. Sama budowla z bliska nie wyglądała już tak imponująco. Po dziedzińcu pętały się kaczki i gęsi, widać też było, że mury w wielu miejscach się sypią, wymagając natychmiastowego remontu. Nawet, o zgrozo, przed samym wejściem do siedziby króla stała sobie ubrudzona świnia i pochrząkiwała wesoło, ryjąc z zaangażowaniem w ziemi.

Zatrzymaliśmy się na samym środku, tuż przy studni. Zostałam w sposób mało elegancki postawiona na ziemi, przy czym gburek wyraźnie unikał mego wzroku.

– I co dalej? – spytałam zgryźliwie. – Tak mnie spętałeś, że nie zrobię nawet kroku.

– Zanioś cię – mruknął.

– Skąd wytrzasnęliście takie rekwizyty?

– Hę?

Poddałam się. Byłam pewna, że nie udaje. On naprawdę był Lancelotem, rycerzem okrągłego... No cóż, pozostaliśmy przy rycerzu. Pewnie miałyśmy wypadek i leżę sobie teraz gdzieś w szpitalu pogrążona w śpiączce, a moja podświadomość szaleje. Westchnęłam. Trudno, zaakceptuję sytuację i poczekam, aż mnie wybudzą. Do tej pory będę się świetnie bawić. Pod warunkiem, że nie spalą mnie na stosie jako czarownicy.

– Prowadź wiedźmę do władcy – usłyszałam za plecami i od razu się zdenerwowałam.

– Tylko nie wiedźmę! – zaprotestowałam energicznie.

Żaden z nich nie raczył mi odpowiedzieć, za to Lancelot przerzucił mnie sobie przez ramię i wszedł do środka. Średniowieczną budowlę podziwiałam więc niejako do góry nogami. Siły temu skubańcowi nie brakowało, bo nawet się nie zadyszał, dźwigając moją skromną osobę. Za to wyobraziłam sobie jego minę i zachichotałam, bo musiał mnie trzymać za nagie uda...

– Panie! – Postawił mnie w końcu na ziemi, a sam padł na kolana, pochylając głowę. Z ciekawością przyjrzałam się ich władcy i mina wyraźnie mi się wydłużyła. To niby był ten ich król? To? Tłusty i nieruchawy, o pożółkłych zębach, ogromnym brzuszysku, małych oczkach i wianuszką z resztek włosów dookoła łysej czaszki. Nawet korony nie miał...

– Cóż za dziwo ze sobą przywiozłeś, sir Lancelocie? – usłyszałam głęboki, lekko rozbawiony głos gdzieś po prawej. – I kto, u licha, tak ją obwiązał tym powrozem?

– To czarownica, mój panie. Może być niebezpieczna.

– Co za ludzie... Czy każdą piękną kobietę nazywasz czarownicą?

W końcu mogłam zobaczyć właściciela głosu i trzeba powiedzieć, że szczeka opadła mi po raz drugi. Wysoki, szczupły i widać, że niezwykle postawny. Włosy miał w kolorze nocnego nieba, kędzierzawe, twarz o niezwykle regularnych rysach, wysokie kości policzkowe, nos nieco kartoflowaty, oczy ciemne niczym dwie studnie, a cerę smagłą, ogorzałą od słońca. Zerknęłam na Lancelota i pomyślałam, że byli niczym rewers i awers, jeden jasny, złocisty, drugi ciemny, mroczny.

– Nie jestem czarownicą – odezwałam się w końcu słabym głosem. Szczerze mówiąc, to powoli czułam się tym wszystkim zmęczona. – Zabłądziłam.

– Zabłądziłaś? Chyba z bardzo daleka, bo nie znam niewiast, które by się tak ubierały.

– Raczej z daleka – odparłam ostrożnie, podczas gdy on wyjął krótki sztylet i rozciął krępujące mnie więzy.

Potem na powrót go schował i zaczął bardzo delikatnie rozmasowywać moje obolałe nadgarstki, na których było widać wyraźne czerwone ślady po sznurze. Patrząc przy tym na mnie tak, jakbyśmy dzielili razem jakąś zabawną tajemnicę. I z podziwem. Pomyślałam, że dobrze, iż zdążyłam zetrzeć z twarzy ten dziwny ślad po szmince. Potem zerknęłam na gburka, który wyglądał tak, jakby lada chwila miała mu iść para uszami. Akurat to mnie rozbawiło.

– Kąpiel? Posiłek? Odpoczynek? – Ciemnowłosy mężczyzna wymieniał to dokładnie w takiej kolejności, jakiej pragnęłam.

– Kąpiel, posiłek, odpoczynek – odpowiedziałam z westchnieniem ulgi. – A on mówił, że spalicie mnie na stosie.

Mordred roześmiał się. Za to jego szlachetny rycerz poczerwieniał, przybierając soczysty kolor purpury.

– Wybacz, pani, moim dzielnym wojakom zapędy do oczyszczenia tego świata z wszystkiego, co według nich pochodzi od szatana. Ja jednak nie boję się czarownic, bo jedną z nich jest moja matka.

– A! – Ucieszyłam się. Jednak nie wszystko się zmieniło. – Morgana?

– Anna. To imię nadano jej na chrzcie i moja małżonka życzyła sobie, aby tak się do niej zwracać. Morgana to pogańskie imię i Ginewra nie chciała go słyszeć w tych murach.

Powiedział to spokojnym, wypranym z emocji głosem, lecz wyraźnie dawało się zauważyć, że to go złości. W ciemnych oczach pojawiły się niebezpieczne błyski, usta lekko się wykrzywiły. Za to ja przyglądałam się mu z coraz większą fascynacją. Nie, nie był piękny, jak jego złotowłosy rycerz, ale miał w sobie coś takiego, że w jego towarzystwie miałam kolana jak z waty, a podbrzusze zaczynało wysyłać niepokojące sygnały. Szczerze mówiąc, jeszcze nigdy w życiu nie działał na mnie w ten sposób żaden facet. Nie powiem, zaiskrzyło, oj, zaiskrzyło!

– To gdzie ta kąpiel? – spytałam ostrożnie, bo pojawiła się we mnie również paląca potrzeba doprowadzenia się do porządku.

– Wybacz, pani. – Lekko się uklonił, a potem jednym ruchem ręki przywołał służącą, która dotychczas przysłuchiwała się naszej rozmowie, stojąc na uboczu. – Wiesz, co masz robić? – zwrócił się do niej ostrym tonem.

Skinęła głową, posyłając mu spłoszone spojrzenie. Pomyślałam, że ten aksamitny ton głosu i delikatne

rozbawienie to raczej maska, za którą się skrywał. Wyraźnie dawało się zauważyć przerażenie w spojrzeniu dziewczyny, a i sam Lancelot zbytnio nie protestował. Co myślał o tak łagodnym potraktowaniu mej osoby, widać było jak na dłoni, ale nie odważył się sprzeciwić. Ten ich władca rządził żelazną ręką.

– W takim razie pozwolisz, że skorzystam z twego zaproszenia – powiedziałam. Ruszyłam w kierunku wyjścia, gdy chwycił mnie za ramię i brutalnie ścisnął. W ciemnych żrenicach pojawiło się szaleństwo.

– Pozwolę – odparł prawie szeptem. – Ale nie ma nic za darmo...

Spojrzenie, którym mnie obrzucił, dość jednoznacznie świadczyło, że jego zaproszenie faktycznie niewiele miało wspólnego z bezinteresownością. Tylko że mnie to raczej nie przstraszyło. Wręcz przeciwnie, sprowokowało. Odważnie je odwzajemniłam, lekko się uśmiechając.

– Mogę? – spytałam, ruchem głowy wskazując w stronę oczekującej na mnie służącej. – Czy przydzielisz mi swego dzielnego rycerza jako eskortę?

– Lancelota? – Mordred przekrzywił głowę na bok, udając, że się zastanawia. – Moja szanowna małżonka szczególnie chwaliła sobie jego towarzystwo.

Nie mogłam nie dosłyszeć, że w ostatnich słowach pobrzmiewała i gorycz, i sarkazm. Porównawszy to z moją skromną wiedzą o legendzie króla Artura, doszłam do wniosku, że szanowna małżonka pewnie doprawiała mu rogi. I nietrudno było się domyślić z kim. Zerknęłam na wciąż czerwonego i nadętego z oburzenia gburka. Z drugiej strony, jakie ta baba miała szczęście! Dwie sztuki seksownych samców, na których widok zapierało dech w piersiach. Zresztą, jaka baba? To tylko moja wyobraźnia...

– Idź! – Pchnął mnie lekko do przodu.

Nie klóciłam się, bo faktycznie byłam wściekle głodna, lepiłam się od potu, a na dodatek zaczynała boleć mnie głowa. To pewnie przez brak porannej kawy. Ciekawe, czy moja upiorna podświadomość coś z tym zrobi.

Idąc za milczącą służką, z Lancelotem dyszącym na karku, zdążyłam jeszcze zastanawiać się, gdzież, u licha, podział się Artur?

2. Ginewra

Przeciągnęłam się, czując promienie słońca pieszczące moją twarz. Pomyślałam, że to doskonała pobudka po pełnej rozkoszy nocy. Oczywiście pojawiły się również wyrzuty sumienia, ale zdusiłam je w zarodku. Namiętność, która łączyła mnie i mego ukochanego, była czymś wyjątkowym, czymś, nad czym nie byliśmy w stanie zapanować.

– Ależ to słońce daje – usłyszałam gdzieś z boku bełkotliwy, kobiecy głos.

Zaraz... Kobięcy?

Energicznie usiadłam na łóżku, otwierając zaspane oczy. I można powiedzieć, że tylko tyle. Zastygłam w bezruchu, patrząc na nieznane mi miejsce, na kobiety leżące na podłodze, rozwalone w różnych pozach na dziwacznych meblach, na okno... Mój Boże! Potem cicho zajęczałam.

Tak. To było pewnie piekło. I trafiłam tutaj, bo zdradzałam swego prawowitego małżonka. Dosięła mnie karząca dłoń Pana...

– A ty co za jedna? – Dziewczyna, która leżała obok, puknęła mnie w ramię.

– Ja... – zaczęłam. – Grzesznica.

– No pewnie – zachichotała. – To fakt, sporo nagrzeszyliśmy w nocy. Jesteś tą kuzynką Leny, o której wspomniała, że niespodziewanie przyjechała z wizytą?

Nie odpowiedziałam, ale ona wyraźnie nie oczekiwała odpowiedzi. Szeroko ziewnęła, po czym na powrót zaryła nosem w poduszkę i głośno chrapnęła.

Ja zaś siedziałam w bezruchu, czując narastającą panikę. Tak, tak. Zostałam skazana na wieczne męki, bez możliwości odkupienia grzechów. Będę cierpieć po wieczność, smażyć się... No nie, aż tak źle to nie było. Jeszcze raz ostrożnie się rozejrzałam. To piekło wcale nie było takie brzydkie. Pokój całkiem spory, łóżko miękkie, zza okna wesoło mrugało do mnie słońeczko. Podrapałam się po nosie nieco zafrasowana. Zawsze tak robiłam, gdy czułam się niepewnie. Poza tym pewna bardzo prozaiczna potrzeba coraz silniej dawała o sobie znać. W końcu musiałam się ruszyć. Ostrożnie zmieniałam pozycję i zajrzałam pod łóżko. Nic. Żadnego naczynia. Jeszcze raz się rozejrzałam, po czym w ostatecznej desperacji potrząsnęłam ramieniem śpiącej obok dziewczyny.

– Muszę siusiu! – wyjąkałam, gdy w końcu otworzyła jedno oko.

– To idź do łazienki – mruknęła.

– Gdzie?

– Tamte drzwi – machnęła gdzieś w nieokreślonym kierunku.

Dałam jej spokój, bo zrozumiałam, że mam znaleźć pomieszczenie, w którym niewątpliwie znajdować się będzie jakieś wiadro. Podreptałam w kierunku czegoś, co faktycznie przypominało drzwi, i weszłam do środka.

Dobrze, że nie zemdlałam od razu, bo nad moją głową rozbłysło łagodne światło. A sama izba...

– Dziwne to piekło – powiedziałam zniesmaczona. – Takie czyste i porządne.

Sama izba nie była duża. Blask bił z czegoś, co zamocowano na suficie, ściany były białe, niezwykle gładkie i chłodne. Z obawą przesunęłam dłonią po ich powierzchni, po czym zaczęłam szukać tego wiadra, dziury, czegokolwiek. Nic z tego – znajdowało się tutaj tylko coś dziwnego, a gdy przyjrzałam się z temu z bliska, zauważyłam wodę chlupoczącą na dnie. Pęcherz dokuczał mi tak strasznie, że nawet pokonał strach i panikę. I nie wiadomo, czy nie ulżyłabym swej potrzebie na wzór prymitywnego zwierzęcia, gdyby do środka nie wepchnęła się jedna z dziewczyn. Zaspana, z opuchniętymi oczyma i potarganymi włosami. Na dodatek półnaga.

– Korzystasz? – spytała, ziewając szeroko. – Bo ja muszę w trybie pilnym.

Zaprzeciżyłam ruchem głowy, a potem obserwowałam ją zachłannie bez słowa. Usiadła na tym czymś z wodą, usłyszałam znajome odgłosy, urwała kawałek czegoś, co wisiało na ścianie, po czym wstała i dotknęła... Aż kwiknęłam z przerażenia. Spojrzała na mnie trochę nieprzytomnie.

– Ale impreza była wczoraj, co nie?

I poszła sobie, zataczając się od lewa do prawa. Za to ja bez zbędnych ceregieli powieliłam jej wyczyn, a ulga, jakiej przy tym doznałam, była wręcz obezwładniająca. Pomacałam również to białe na ścianie.

– Coś jak delikatny materiał – mruknęłam. – A co mi tam...

W końcu wróciłam do sypialnej komnaty. Usiadłam na skraju łóża i uruchomiłam myślenie.

Co to za miejsce? Jak tu trafiłam? Piekło? A może to Avalon, o którym wciąż bajdurzył ten staruszek, jak mu tam było? Merlin? Tak, Merlin. To Piekło nie bardzo mi pasowało, bo było tu zbyt czysto, zbyt jasno, zbyt spokojnie. A niebo... Nie zasłużyłam na niebo. Przecież

gziłam się ze stajennym, zdradzając prawowitego małżonka. Więc niebo odpadało. Zdezorientowana, porozczułam się nad sobą odrobinę, popłakałam, pomodliłam. W końcu pojawiła się ciekawość i podeszłam do okna. A gdy wyjrzałam...

Oczy o mało mi nie wyszły z orbit, serce nie wyskoczyło z piersi. W niekontrolowany sposób zaczęłam drżeć, z całej siły zaciskałam dłonie, wbijając paznokcie w ich wnętrze. Bo to, co ujrzałam, nie było podobne do niczego, co znałam. Przekraczało granice mojej wyobraźni, przekraczało nawet zdolność pojmowania.

– Ej, laska? – Ktoś klepnął mnie w ramię. – Co brałaś, że masz taki odjazd? Jeszcze nie wytrzeźwiałaś?

Dziwny charkot wydobył się z moich ust. Za plecami słyszałam kobiece głosy, rozbawione, zaspane. Ktoś się śmiał, ktoś pytał o coś z irytacją. A ja trwałam w bezruchu, dławiąc się bezradnością. Widziałam coś, co mogłabym nazwać miastem. W niebo strzelały wysmukłe wieże, pośród zieleni widać było różnego kształtu i rozmiaru budynki. Pomiędzy nim szerokie przesmyki, jakby drogi, po których coś się poruszało. A to wszystko aż po horyzont.

– Gdzie jest Lena? – spytał ktoś, a wtedy nagle wszystkie umilkły.

– Wyszła?

– Nie, nie było jej, jak się obudziłam. Za to była ona.

Powoli odwróciłam się do nich przodem. Pięć kobiet, wszystkie piękne, o smukłych nogach i zgrabnych ciałach. Szczegóły zamazywały się przed moimi oczyma, ale czy to było teraz ważne?

– Nie pamiętam, kiedy ją zgarnęliśmy – powiedziała posągowa brunetka, przyglądając mi się intensywnie. – Karolina twierdzi, że jesteś kuzynką Leny. To prawda?

– Ja... – Odchrząknęłam, bo głos odmawiał mi posłuszeństwa. – Jestem Ginewra.

– Serio? Oryginalne imię. Nietypowe – dziwiły się jedna przez drugą.

– Dobra, spokój! – krzyknęła ta, która miała intensywnie rude włosy. – Zamówimy śniadanie i trzeba się zbierać. Przypominam, że jutro mój wielki dzień. Nie mogę wyglądać na skacowaną czy przemęczoną. Muszę być jak ten róży kwiat – zażartowała. – Jestem Jolka, a to Karolina, Marysia, Samanta i Klaudia. – Wskazała po kolei na szczupłą blondyneczkę o wesołych i ciemnych jak paciorki oczach, posągową brunetkę, kolejną rudą o nieco anemicznym wyglądzie i wysoką dziewczynę o bardzo długich, brązowych włosach. – Zamawiam. Sześć razy kawa, sześć razy śniadanko. To wszystko?

– Może klina? – spytała Klaudia, padając na łóżko. – Kaca mam nieziemskiego.

– To ci sok pomidorowy zamówię, nie wódkę.

Paplały, kręciły się, poprawiały fryzury i pokazywały sobie coś, trzymając w rękach dziwne urządzenia. Za to ja nie zwracałam uwagi na szczegóły, bo wciąż czułam dziwne dławienie w gardle i ucisk na piersiach.

– Czy to Avalon? – spytałam w końcu, gdy umilkły, bo do pokoju weszła kobieta, pchając przed sobą dziwny stół.

– Avalon? – Ta, którą nazywały Karoliną, zmarszczyła brwi, patrząc na mnie z niepokojem. – Nie, to Poznań. Chyba zabalowałaś wczoraj ostrzej niż my.

Posadzono mnie przy okrągłym stoliku. Postawiono naczynie z czymś czarnym, gorącym i intensywnie pachnącym. Potem talerz, na którym było chyba coś jadalnego. Jakby pieczywo...

– No jedz i pij, nie gap się tak na tego rogalika. – Ruda szturchnęła mnie w bok. – Zabiorę cię chyba ze sobą i zaopiekuję, dopóki nie zjawi się Lena. Może być?

Odruchowo skinęłam głową. Czarny napój miał oryginalny, gorzki smak. O mało co nie wypłułam pierwszego łyka. Potem poszło już sprawniej, bo nagle mi zasmakował. Pieczywo również. Było mięciutkie, rozpływało się w ustach. Wspomniałam chleb, jaki gościł na naszych stołach, i ponownie się zadumałam. Jak jedna z nich nazwała to miejsce? Poznań? Jaki, u licha, Poznań?! To chyba poza granicami naszego królestwa.

– Laska, kończ to śniadanie i się ubieraj. Nie chcesz chyba paradować w tej koszuli?

– Ale... – Rozejrzałam się bezradnie. – Nie mam nic innego. Moje suknie zostały na zamku.

Jolka po raz kolejny przyglądała mi się uważnie.

– Żebyś tylko nie musiała z tobą jechać na pogotowie – mruknęła. – Nie mam na to czasu. Dobra, zabieram cię tak, jak stoisz. Pożyczę jakąś kieckę, u mnie się też wykąpiesz. W międzyczasie może zdolałam dodzwonić się do Leny, bo ma chyba wyłączony telefon.

Zapanował chaos. Potem jedna z nich chwyciła mnie za ramię i pociągnęła za sobą. Szłam, czując, że nadmiar bodźców obezwładnia, czyniąc ze mnie bezwolną kukiełkę. Byłam w stanie jedynie patrzeć, ani myśleć, ani mówić. Naśladując moją towarzyszkę, pozwoliłam się wepchnąć do jakiegoś pudła. Ale kiedy to coś ruszyło i świat zaczął mknąć w oszałamiającym tempie, zemdlałam.

– Hej, hej! – Ktoś delikatnie klepał mnie po policzku.

– No i co ja mam z nią zrobić? – To ruda, która wyraźnie była rozgniewana. – A ta cholerna Lena nie odbiera! Wićcej, wciąż ma wyłączony telefon!

– Daj spokój, siostrzyczko. – Dopiero teraz do mnie dotarło, że ten drugi głos należał do mężczyzny.

– Zbadałeś ją chociaż? Nic jej nie jest?

– A co ja? Mam rentgena w oczach i laboratorium w nosie?

– Nie chrzań! Jesteś w końcu lekarzem!
– To po mojemu nic jej nie jest. Alkohol bym wykluczył, musiała wziąć coś innego.

– Dlaczego nie alkohol?

– Bo ty śmierdzisz nim na odległość, a od niej nic nie czuć. O! Ocknęła się! – Ucieszył się. – Cześć, laleczko. Ile widzisz palców?

– Dwa – wychrypiałam, usiłując usiąść. – Dwa wyprostowane i trzy zgięte.

– Bystra dziewczynka – pochwalił, a ja mogłam w końcu mu się przyrzec.

Był tak samo rudy i piegowaty jak jego siostra. Twarz miał szczupłą, pociągłą, oczy błękitne jak niebo za oknem. Uśmiechał się, błyskając białą zębów. A kiedy wstał, okazało się również, że jest bardzo wysokim mężczyzną. I całkiem nieźle zbudowanym. Nie tak umięśnionym jak mój ukochany, ale całkiem nieźle.

– Będzie żyć. I dojdzie do siebie.

– No dobrze. Ale ja nie mam czasu czekać, aż ona wytrzeźwieje. Jutro mój ślub! Mój ślub, zrozumiałeś? – Ruda chwyciła go za ubranie i energicznie nim potrząsnęła. Nie okazał oburzenia, tylko lekceważąco machnął ręką.

– Zajmę się nią. I tak nie mam nic do roboty.

– To dobrze. – Odetchnęła z ulgą. – Ginewra, poznaj mojego brata, Mateusza. Mateusz, to Ginewra.

– Twoje prawdziwe imię? – Spojrzał na mnie z zaciekawieniem.

– Tak. – Potaknęłam ruchem głowy. I zamarłam, bo właśnie coś sobie uświadomiłam. Oni nie używali mojej ojczystej mowy. Za to ja mówiłam w dziwnym języku, który jednocześnie był i nie był mi znany. Co to miało znaczyć?

– Dobra, jest cała twoja. Ja idę do kosmetyczki, nie będzie mnie kilka godzin. Przekażę Lenie, że ma ją stąd

odebrać. Ale najpierw niech się wykąpie, przebierze. Pa, pa, braciszku.

I już jej nie było. Zostałam sama z obcym mężczyzną w miejscu, które doprowadzało mnie do szaleństwa.

– Tam jest łazienka. – Wskazał na prawo. – Chyba że najpierw napijemy się jeszcze kawy?

– Tego czarnego? – zainteresowałam się niemrawo. – A masz wodę?

– Mam. – Wyglądał na rozbawionego. – Przynieść ci szklankę, czy pójdziesz ze mną do kuchni?

– Pójdę – zapewniłam go szybko, bo bałam się zostać sama. Podreptałam wpatrzona w jego plecy, przy okazji zastanawiając się, w co, u licha, był ubrany. I znów poczułam panikę. Niby to była ta kuchnia? Gdzie palenisko? Gdzie stoły i ławy? Gdzie...

– Proszę. – Wcisnął mi w rękę naczynie, które wyglądało na niezwykle kruche. – Pij, bo faktycznie minę masz nietęgą.

Wypiłam. Duszkciem. Poprosiłam o jeszcze i dostałam. A później odetchnęłam i postanowiłam złapać byka za rogi. Wyglądał na godnego zaufania i sympatycznego młodzieńca.

– Mam problem – powiedziałam prosto z mostu. – Nie wiem, co to za miejsce.

– Hm... – Podszedł bliżej i delikatnie ujął moją twarz w obie dłonie, a następnie przesunął kciukami po policzkach. – Pamiętasz, co brałaś?

– Nic – odparłam poirytowana. – Zasnęłam... – lekko się zająknęłam, bo przecież nie mogłam powiedzieć, że w ramionach kochanka na sianie. – Zasnęłam w swym łożu. Na zewnątrz szalała burza, w kominku palił się ogień, wyganiając chłód z zimnych murów. Mój małżonek...

– Nie gadaj, masz męża! – Mateusz nie tylko był zaskoczony. Posmutniał. – A nie dałbym ci dwudziestu lat.

– Mam dziewiętnaście – odparłam skromnie. – Jestem mężatką od pięciu.

– Żartujesz? – Wybałuszył oczy. – Hajtnęłaś się w wieku czternastu lat?

– To wcale nie tak późno – powiedziałam chłodnym tonem, skubiąc rąbek lnianej koszuli.

Potrząsnął głową.

– Nic nie rozumiem. Jak „nie tak późno”? Przecież to o wiele za wcześnie!

– Czy możemy zostawić w spokoju sprawę mego małżeństwa? Mam inne problemy na głowie.

– Możemy. – Poweselał i sięgnął za siebie, po chwili stawiając przede mną talerz z czymś wyglądającym niezwykle smakowicie. – To teraz powiedz, Ginewro, jakie to kłopoty zaprzatają głowę tak pięknej kobiety. A swoją drogą, dostałaś imię na cześć legendarnej żony króla Artura?

– Króla? – zainteresowałam się. – Jakiego króla?

– Wielkiego władcy Brytów. Nie mówi, że nie słyszałaś tej legendy?

– Widocznie w moich stronach nie była tak popularna. – Westchnęłam.

– W twoich stronach? Czyli gdzie? Na bezludnej wyspie Pacyfiku?

– Co to jest Pacyfik? – spytałam z ciekawością.

Nie zdążył odpowiedzieć, bo drzwi otworzyły się z hukiem i do środka weszła grupka roześmianych mężczyzn. Było ich czterech, a ja poczułam nagle zawstydzenie, bo w końcu siedziałam tutaj ubrana jedynie w nocną bieliznę. Mateusz również nie wyglądał na zadowolonego. Przywitał się z nimi i kiedy zaczęli się dopytywać, kim jestem, chwycił mnie za ramię i pociągnął za sobą. Weszliśmy na piętro po dziwnie mało stromych schodach, a potem zaprowadził mnie do kolejnego pomieszczenia, które wzbudziło mój niepokój.

– Prysznic, kosmetyki, szlafrok. – Wskazywał ręką całkowicie nieznane mi przedmioty, zarówno z wyglądu, jak i z nazwy. – Jak wyjdiesz, to pierwsze drzwi po prawej to sypialnia Jolki. Masz sobie wybrać sukienkę z jej garderoby.

– Zaczekaj! – Desperacko chwyciłam jego rękę, ściskając nadgarstek. – Jaki prysznic? Co to jest „kosmetyki”?

Pierwszy raz spojrzał na mnie jak na idiotkę.

– Aż takiej amnezji chyba nie masz? – spytał z niesmakiem. – Idę, a ty się rozgość.

I wyszedł. A ja zostałam sama, czując narastającą panikę. Jaki prysznic, na Boga? Jak niby miałam się tutaj wykąpać? W czym? I skąd wziąć wodę? Gdzie służba?

– Boże, Boże! Czemuś mnie, mój panie, tak pokarał? – wyjęczałam, tarłosząc włosy.

Mówiąc dosadnie, miałam przechlapane.

PO WIĘCEJ EBOOKÓW ZAPRASZAMY NA:
WWW.MOTYLEWNOSIE.PL
WWW.SKLEP.MOTYLEWNOSIE.PL

POZWÓL SOBIE NA ODROBINĘ LUKSUSU...



Inny wymiar erotyki